

Laskowski Kazimierz

DYGNITARZE WIOSKOWI

"Utytułowanie" przestało już być wyłącznym przywilejem sfer oświeconych. Tytuł w pojęciu ogólnem, do niedawna po wsiach gość nader rzadki, bo zaledwie czasami w ścianach wiejskiego dworku zasłyszany, ów tytuł, w tak licznych odmianach rozrodzony wśród murów miejskich, przedostał się już i pod strzechy wieśniacze, gdzie w chłopskiej piersi nieznanych dotąd uczuć ognisko zapalił. Na tej willegiaturze stracił on, co prawda, nieco z wielkomiejskiej próżności i fomy, skromniejszą, nie tak lśniąca i mniej wyszukanego kroju przywdział sukienkę, lecz nawet w tym logarytmicznym odskoku od prototypów w cichej atmosferze wioskowej promieniuje dość silnie, budząc w utytułowanych

ów nastrój robionej powagi i pewnej wyższości, a w otoczenia zazdrosne uszanowanie i naśladowniczą poządliwość.

Nic w tera zresztą dziwnego niema. Jeśli w klasach t. zw.
oświeconych tytuł, z
tej czy innej racji nadawany, nie stracił jeszcze uroku, nie
spowszedniał i
pachnie zawsze odorem dignitatis, mile łechcącym ludzkie
powonienia, toć i na
nowej grzędzie, wśród prostaczków, nie mógł wzrosnąć kwiatem bez
woni.
Aspiracje chłopskiej duszy, ograniczające się do niedawnego czasu
do dorobku
majątkozwego, rozszerzyły się zrocizowaniem pragnieniem znaczenia,
choćby
partykularnego, żądzą sławy, że tak powiem, sławy, która, choć granic
gminy nie
przekracza, sławą mimo to być nie przestaje. Honor es mutant mores.
Więc jak w
mieście radcowie, dyrektorowie, prezesowie, b. radcowie, b.
prezesowie b.
instytucji, jak radczynie, dyrektorowe z progeniturą radczanek,
dyrekto-

minek i t. d. bezwiednie częstokroć stąpają wobec ogółu przeciętnych
śmiertelników na szczytach, tak i po wsiach wójci, sołtysi, ławnicy
razem z
rodzinami, którym się również okrawek tytułu dostaje, nabierają
tychże samych
cech, innym odcieniom utytułowania właściwych, tworząc dygnitaryat
wioskowy, nie
tyle może chełpliwy i próżny, co powagą i ważnością powierzonej mu
władzy nad
otoczeniem przejęty.
Z chwilą uzyskania godności urzędowej następuje jakaś przemiana
psychologiczna w
duszy chłopskiej — i inaczej być nawet nie może. Chłop nasz,
arystokrata czystej

krwi, patrzący z góry na miejskiego łyka, w gruncie rzeczy dumny,
pragnący
wyróżnienia i odznaczeń, miał w sobie zawsze podziw i poważanie
dla każdej z
widocznych dlań oznak wyższości indywidualnej. Imponowała mu
siła fizyczna,
zasobność lub bogactwo, — w nich też szukał sławy i rozgłosu. Junak
wioskowy
znalazł zawsze mniej lub więcej szczęśliwych

naśladowców: ładne "obejście, " bogaty "statek" zawsze naszego
chłopka pociągały
ku sobie.

Miano "siłacza" lub "bogacza, " będące synonimem rozgłosu
wieśniaczej drużyny,
znalazło teraz w dążnościach chłopskich uzupełnienie w tytule
"urzędnika. "

Dzisiejsza arystokracja chłopska, nie zatraciwszy swych dawnych,
mistrzowsko
przez ś. p. Anczyca skreślonych cech, wsparła się jeszcze na realnych
podstawach
piastowanej przez siebie władzy. Licniejsza niż poprzednio, a więc
mogąca
silniej oddziaływać przykładem, zachowaniem się i ocenianiem
własnej godności na
otoczenie, bez wątpienia też wywiera ona wpływ znaczny w
środku swej
działalności.

Na ten dygnitaryat wioskowy, stający na świeczniku, zwrócone są
oczy ludności
wiosek i gmin całych; jego życie, czyny, sprawy i pojęcia rozbierane
są,
komentowane i najczęściej naśladowane, a poza tem już sam
piastowany urząd,
skromny w zakresie, a tyle ważny, jak

każdy czynnik, działający u podstaw, na kształtowanie się pojęć etycznych i społecznych w masach ludu nacisk niezawodny wywiera. Pomijając już te względy, przypuszczani, że w rozwoju społecznym obojętnym być nie może samo zachowanie się chłopa na urzędzie. Wójt, sołtys, ławnik — drobne to wprawdzie kółka w wielkiej maszynie ustroju państwowego, niemniej jednak ważne, bo stykające się bezpośrednio z najliczniejszą warstwą ludności — wieśniakiem, a prócz tego związane z otoczeniem krwią, wspólnością pojęć, podobieństwem bytu i potrzeb. Zamierzając skreślić szereg sylwetek dygnitarzy wioskowych, mam na celu obiektywny przegląd tych postaci, względnie nowych, a, o ile mnie pamięć nie zawodzi, dotychczas w publicystyce pomijanych. Nie wolno mi z góry przesądzać, o ile pomyślnie wywiążę się z tego zadania, — żywię jednak nadzieję, iż skromnym początkowaniem pobudzę przynajmniej inne, biegłejsze pióra do podjęcia tej ważnej kwestyi.

Do dygnitarzy wioskowych zaliczam, prócz wójtów, sołtysów, ławników i t. d., i pisarzy gminnych. Pisarz gminny nie jest wprawdzie "chłopem na urzędzie, " rekrutuje on się z warstw innych i jest postacią napływową, ale funkcją, którą spełnia, zespała go do tego stopnia z otoczeniem na punkcie urzędowej czynności,

że go w pierwszym szeregu, ze względu na udzielający wpływ
postawić należy, z
małymi bowiem wyjątkami pisarz jest pierwszą figurą w gminie. Pan
pisarz w
zarządzie gminnym spełnia funkcję wag przy zegarze. Me stanowią
one jednolitej
całości z zegarem, a jednak wprawiają w ruch werk cały,
oddziałują na chód
czasomierza, jednym słowem są anima movens instrumentu.
Z góry zaznaczam, że, o ile moje spostrzeżenia sięgają, anima movens
naszych
gmin w większości wypadków nie spełnia swych funkcji należycie —
i tam, gdzie
zegar gminny nakręcany jest istotnie wójtowskim kluczem, gdzie pan
pisarz nie
gra pierwszych skrzypiec,

ład i porządek są większe, a nadużycia do rzadkości należą, gdyż na
pochwałę
naszych włościan przyznać należy, iż w miarę zasobów umysłowych
spełniają oni
podjęty obowiązek sumiennie.
Po tym wstępie, który mi się wydał ko-
niecznym (a jeśli tak nie jest, niech mi szanowny czytelnik wybaczy),
przestępuję
do opisu pierwszej z kolei postaci — p. Anzelma Grzechotki, pisarza
gminy
Beżładowa.

PAN ANZELM GRZECHOTKA.

Pan Anzelm Grzechotka już z zewnętrznej postaci przypominał
dawnych

mandararyuszów galicyjskich. Wąsy golił, natomiast nosił
dziwaczego kształtu
bokobrody, dla nadania fizyognomii, jak twierdził, większej powagi,
wobec
"chamów" koniecznej. Nizkiego wzrostu, ubierał się zwykle w długi
angielski
surdut, szczelnie latem czy zimą zapięty, w wysokie, sztywno
wykrochmalone
kołnierzyki fatermerdery; sinego koloru spodnie, jakich zwykle używa
kawalerya,
dopełniały całości. Był to stały uniform pana Anzelma i nikt go nigdy,
w żadnej
porze roku, inaczej przyodzianym nie widział. Zmiana tempera-

tury wpływała jedynie na przykrycie głowy i jakość noszonych
krawatów. Latem, aż
do późnej jesieni, chodził Grzechotka w kaszkiecie granatowym z
aksamitnym
lampasem i w krawatach jasnych jaskrawego koloru, zimą w
barankowej siwej czapce
i w czarnej półjedwabnej chustce, zawiązanej z fantazyą wokół
fatermerderów pod
szyją.

Skąd pochodził Grzechotka i czem się przed objęciem posady pisarza
gminnego w
Beżładowie zajmował — nie wiadomo. — On sam zwierzał się
czasami, "że gdyby nie
losy i źli ludzie, nigdyby w takiej dziurze nie siedział, " dając do
rozumienia, że do innych, wyższych celów był przeznaczony.
Bywało nieraz, zajechawszy do dworu z interesem (a zajeżdżał
zwykle w porze
przyuszczalnego posiłku), poczęstowany herbatą z arakiem, o który
zawsze się
zręcznie przymówić umiał, rozrzewnia się pan Anzelm i wywnętrzna:
— Panie dziedzicu dobrodzieju! zagrzebał się człowiek między
chamami i marnieje

Nie ze swej winy, nie ze swej... jak Boga Kocham ! Co to za życie dla
edukowanego człowieka!... Żeby nie łaska panów obywateli, nie
byłoby z czego...
jak honor szanuję... żyć. Głupie sto pięćdziesiąt rubli pensyi...
dochodów
żadnych, a pracy... ot! potąd... W zeszłym roku przysłał mi dziedzic
dobrodziej
parę korcy zboża i furkę koniczyny... Przychował człowiek krówkę i
trochę
trzody... Sprzedało się... Kapnął jakiś grosz z tego, związało się
koniec z
końcem... A teraz, jak honor Kocham, nie wiem, co będzie... Chciałby
człowiek
nazwisko dźwignąć, dzieciom dać edukację... jak honor Kocham,
niema z czego.
Wywnętrzanie takie kończyło się zwykle obietnicą nowego zasiłku, za
który
Grzechotka dziękował ze swej strony uniżonem "padam do nóżek, do
stopek się
ściele" i uwagą, rzuconą od niechcienia, że z podatkami niema jeszcze
nic tak
pilnego.
Swoją drogą Grzechotka, narzekając na brak dochodów, mijał się z
prawdą. Prócz

pensyi stałej stu pięćdziesięciu rubli i równie stałych obrywek pod
postacią
zboża i paszy z pięciu dworów, należących do gminy Bezlądowa,
umiał on jeszcze w
sposób zręczny manipulować niektórymi pozycjami budżetu
gminnego tak, że wilk
był syty i koza cała.

Z poczciwego Kacpra Bały, wójta, niewiele sobie pan Anzelm robił,
więc sprawy
szły tem gładziej. Przedewszystkiem wydzierzawił podwody.
Dzierżawa zasadzała
się na tem, że z folwarków zamiast furmanek pobierał zapłatę w
gotowiźnie, w
razie zaś potrzeby wysyłał w miejsce dworskich zaprzęgów własne
konie. Rozumie
się, że potrzeba ta zdarzała się nader rzadko, raz lub dwa razy do roku,
gdyż
Grzechotka, mając do rozporządzenia furmanki włościańskie,
redukował użytkowanie
i zapotrzebowanie podwód do rozporządzalnej siły pociągowej gminy.
Z tego źródła, lekko licząc, kapło co najmniej sto rubelków, bo
utrzymanie
własnych koników niewiele kosztowało. Stąd i zowąd dostało się
furkę siana,
korczyk owsa, a stróż

kancelaryjny rażeni ze stójką na przemian wypełniali znakomicie
funkcyę
stangreta.
Prócz tego ustanowił pan Anzelm takse za "blankiety" na świadectwa
bydłęce,
takse stosunkowo niewielką, bo od — kopiejek, względnie od
zamożności
interesanta. Rzecz prosta, że wynalazek swój trzymał w sekrecie,
wprost nie
żądał nigdy opłaty, ale gdy niedomyślny właściciel bydłatka nie uiścił
z góry
zapłaty, pan Anzelm nie miał zwykle czasu, kazał mu czekać lub
przyjść drugiego
dnia, bo dziś blankietów nie ma. Taki manewr odnosił zazwyczaj
pożądany skutek.
Chłop, drapiąc się w głowę, prosił, molestował, tłumacząc, że mu
pilno na

jarmark.

— Możeby pan pisarz byli łaskawi poszukać, albo na zwyczajnym papierze napisać, ino pieczęć przyłożyć...

— Nie zwracajcie głowy. Ja mam roboty po uszy. Kiedy mówię jutro, to jutru. A zresztą poczekajcie, to was może przed wieczorem załatwię... — srożył się Grzechotka.

— Prosiłbym pana sekretarza, bardzo piknie, żeby tera — napierał się chłop, szukając po kieszeniach.

Pan Anzelm obserwował go pilnie, a gdy ujrzał, że chłop z supełka chustki

wyjmuje drobne, odwracał się, udając, że nic nie widział i, niby wzruszony

prośbą, sięgał do szafy, brał papier i zasiadał do pisania.

W czasie poszukiwania materiałów piśmiennych dziesiątka chłopka przeniosła się

już pod papiery na biurko pana Anzelma.

Pan Anzelm, dotykalnie sprawdziwszy dłonią, czy go wzrok nie omylił, brał się za

pióro, pytając:

— Maść? lata? oznaki szczególne?

— Ano czerwona jest z kwiatkiem... a na gody będzie miała cztery lata...

— Nie pytam, ile będzie miała, lecz ile ma? — indaguje ostro Grzechotka.

— No to chyba będzie miała trzy lata i kwartał i miesięcy... — oblicza chłop.

— Trzy lata i pół dla równości — przerywa pan Anzelm. — Oznaki szczególne?

— Czy ja wiem!...

— Kogi ma?

— Jakżeby bydle było przez rogów ?

— Pytam raz ostatni: oznaki szczególne?

— Chyba, że się lutowe często i na lewej pachwinie przebodzona.

"Prze... bo... dzo... na... " pisze pan sekretarz i świadectwo gotowe.

Najprzyjemniejszym jednak wypadkiem dla pana Grzechotki były spisy i szacunek

majątku przy masach spadkowych. Tu wrodzona i zdobyta

inteligencja miała

szerokie pole do popisu.

Zmarło się Jackowi Purchale. Zostało pięcioro dzieci, trzech synów i dwie córki,

jedna już wydana, została gospodarka jedenaście morgów z prętami, chałupa,

stodoła, para koni, kilkoro bydlatek, trochę drobniejszej gadziny, no i inny

statek, zwyczajnie jak po zagrodniku.

"Wypadło się dzieciom po ludzku podzielić, a że, według prawa, zagrody, nie

mającej dwunastu morgów, rozczłonkować nie można

prze to najstarszy syn miał wziąć gospodarkę, a resztę rodzeństwa spłacić.

Pochowali ojca po chrześcijańsku, z nabożeństwem, z mową — i, wedle zwyczaju,

dla otarcia łez, wstąpili po skończonym obrzędzie do karczmy.

Zjawił się tam, niby przypadkiem, pan Anzelm i w wielkim smutku pocieszać

zaczął.

— Głupstwo! — mówił — wszyscy jesteśmy śmiertelni.

Nieboszczyk, świec mu Panie!

nażył się do syta i nie w biedzie, ale na gospodarstwie. Teraz główna rzecz,

żeby działały sprawiedliwie przeprowadzić. Jakże? — pytał — nie zostawił stary

"ostatniej woli?" Nie zrobił jakiego rozporządzenia przed śmiercią?
— Kaj tam! — objaśnili spadkobiercy. — Zaniemogli tatuś raptem i mowę im odebrało...

— To przeprowadzimy działy z urzędu...

— Ja właśnie chciałem pana sekretarza prosić — wtrącił najstarszy przypuszczalny właściciel gospodarstwa, — żeby może na grunt zjechać i obszacować...

— To sio wszystko zrobi. Jutro rano wpadniemy z wójtem, sporządzimy spis, opiszemy ruchomości i inwentarz — wyrokował głośno Grzechotka, a po cichu dodał, zwracając się do interesowanego: — A wpadnij przedtem do kancelaryi, to pogadamy...

To "pogadamy" wymówione było pełnym znaczenia tonem.

W ten sposób natchnąwszy otuchą protekcji jednego ze spadkobierców, zakręcił się

jeszcze pan Anzelm po szynkowni i innym, którym się patrzyły spłacki, szeptał na ucho:

— A zajdźcie-no do mnie, choćby i dzisiaj. Trzeba się naradzić przed spisem. Za

późno po śmierci wędrować... po spisie, jak kłamka zapadnie, nie mógłbym już dla was nic zrobić...

Skaptowane obydwie interesowane strony zjawily się każda z osobna w kancelaryi

gminnej, zajrzawszy poprzednio do prywatnego mieszkania państwa Grzechotków. Po

takiej wizycie spadkobierców zwiększały się zwykle spiżarniane zapasy pani

Anzelmowej.

Przebieg pertraktacji z samym Grzechotką wypadł pomyślnie dla całej rodziny po Jacku Purchale. Najstarszy syn, Kuba, mający objąć gospodarkę, przetłómaczył jasno panu sekretarzowi, że pole zapuszczone, strzecha na stodole przecieka i trzeba ją na nowo poszywać, a gadzina licha i zanędzona. Pan Grzechotka, usposobiony dla Kuby jak najlepiej, przyrzekł solennie wobec opuszczonego stanu gospodarstwa, w myśl proszącego, bardzo niski szacunek sformułować. Innego przekonania była wprawdzie reszta spadkobierców, którym wręcz o odmienny skutek chodziło. Wychwalali oni kwitnący stan gospodarstwa, a dyplomata pan Anzelm również potakiwał, przyrzekając najściślej zastosować się do ich wymagań. — Albo ja to nie wiem, moi drodzy — mówi, — że ze "starego" był zawołany gospodarz! Aż miło spojrzeć na taki obrządek! Poszukać drugiej takiej zagrody. Budynki cacka, inwentarz doskonały...

— O! co liwentarz to jest jak się patrzy. Szkapy wyżernione z owsa...
—

przytakiwali.

— To też i szacunek powinien być stosowny — konkludował Grzechotka. — Bądźcie pewni, że ja wszystko zrobię po sprawiedliwości. Byle tylko "biegli" nie byli bardzo za Kubą...

— Już on się ta psawiara kręcił. Chciałby najbliższą fan delie wykwitować i

psim swędem przyjsć do takiego bogactwa. My też chudziny
uciekamy sio do łaski
pana sekretarza, żeby nas krzywdzić nie dozwolił...
— Bądźcie spokojni! bądźcie spokojni! O ile się da, o tyle się robi.
Rzecz prosta, iż, mimo solennych przyrzeczeń Grzechotki, obie strony
nie mogły
być w rezultacie zadowolone. Nie martwił się jednak tem zbytnio pan
Anzelm,
zwalając całą winę na stronniczość biegłych i pośrednicząc w dalszym
ciągu w
razie zawikłań między sukcesorami.
Wypisy z ksiąg ludności, dublikaty aktów zejścia, urodzin, nawet
szczepienia
ospy, nie

mówiąc już o zaległościach podatkowych, które Grzechotka ścigał z
rozmaita
surowością, zależną od usposobienia — wszystko to ostatecznie
podwyższało
niezależność materyalną rodziny Grzechotków, przysparzając
środków na
podźwignięcie imienia.
Pan Anzelm, będąc za przezornym, aby się dopuszczać wykroczeń,
przeciwnych
zasadniczemu prawu, umiał się jednak tak postawić, że już samą
obietnicę
względności, obietnicę, która najczęściej z przyczyn od niego
niezależnych
zawodziła, przetapiał na gotówkę albo prezent w naturze.
Wracał też pan Anzelm z każdego objazdu po gminie zaopatrzony w
różne artykuły
domowego użytku tak obficie, że drób' ze stołu państwa Anzelmostwa
nie schodził,
a przyjęcia u Grzechotków cieszyły się wyrobioną sławą
wykwintnego menu,
dostatnio podlewanego trunkami gratisowego również pochodzenia.

Do najintratniejszych miesięcy należał październik, jako
poprzedzający pobór
woj-

skowy. Pan Grzechotka, sam ojciec rodziny (trzy córki na wydaniu,
prócz
drobiazgu), pojmował ból macierzyński i najchętniej pocieszał
zapłakane
włóścianki ulgami różnych kategorii. W wypadku nawet, gdy
przewidywana ulga — a
tak bywało najczęściej — nie odnosiła skutku, pan Anzelm uspokajał
rodzinę,
dowodząc, że gdy starszego wzięli, to za to dla młodszego będzie
służył wybór.
Już on się o to postara, trzeba tylko zawczasu porobić odpowiednie
kroki, żeby
podanie za późno nie przyszło.
— Takich rzeczy — mawiał — nie można odkładać na ostatnią
godzinę. Ja wygotuję
papiery j przedstawię rzecz gdzie należy. Tylko...
Tu pan Anzelm robił ruch ręką, oznaczający kosza...
Zapuszczanie z brzękiem ręki w kieszeń spodni sinego koloru było
najlepszym
dowodem, że mimiczna przemowa skutkowałą.
Aczkolwiek pan Anzelm podczas bytności we dworach zdradzał
arystokratyczne
aspira-

cy, oczom powyżej nadmienilem, jednakże w razie potrzeby umiał
zrobić ofiarę z
przekonań i przedzierzgnąć się w czystej wody demokrate.. Nie żył
wprawdzie z
"chamami" za pan brat, nie narażał na szwank swej powagi i godności,
lecz bywały

chwile, gdy serce Grzechotki skłaniało się ku siermiężnej braci.
Zwłaszcza na posiedzeniach, na których zapadały "uchwały" gminne,
nie lubił
Grzechotka obecności szlachty. Rzadko kiedy, a najczęściej za późno
zawiaadał
dwory o mającem się odbyć zebraniu, a dopiero po "uchwale" donosił
o zapadłych
postanowieniach.

— Oponowałem, panie dziedzicu dobrodzieju ! — tłumaczył się przy
sposobności. —

Oponowałem! Ale kto tam chłopą przegada! Ja mówię: z dymu, a oni:
z morgi.

Wiadoma rzecz: chłop zawsze na swoją stronę ciągnie. Uchwalili
składkę z
morgi... Z tymi chamami szkoda gęby. Zakrzyczą człowieka, do słowa
przyjść nie
dadzą...

— Szkoda, żeś mię pan nie uwiadomił o zebraniu; byłbym przyjechał
i
wytłomaczył, że taki rozkład jest niesłuszny — robił uwagę właściciel
folwarku.

— Panie dziedzicu dobrodzieju! Czy się to opłaci pospolitować z tą
hałasą!

Jak honor kochani! gadałem, tłumaczyłem za trzech, piersi
zrywałem!... Groch na
ścianę!

Przeciwnie, w rozmowę z włościanami wykladał Grzechotka teorię
swego
postępowania w inny sposób:

— Szlachta będzie wrzeszczeć, ale wy nie przystajcie, tylko z morgi.

Na to jest

dwór, żeby płacił. Ma więcej, niech płaci więcej. Łatwiej wam
zapłacić kopiejkę
z morgu niż pół rubelka z dymu. No, nie? chłopcy!

— Juści, sprawiedliwie mówi pan sekretarz. Łacniej człekowi o złotówkę, niż o pół rubla, a dworu i tak nie ubędzie. Pomijając już inne, bardziej skomplikowane oberchapki (tak tego rodzaju dochody zwał w rozmowie z żoną Grzechotka), miał jeszcze pan sekretarz wcale przyzwoity akcy-

dens z "przysiewków. " W każdym niemal folwarku wypraszał sobie parę pretów (najmniej sto) pod kartofle, owies lub żyto, a nawet u bogatszych włościan za oddane przysługi czasem jaki kawałek ziemi poddzierżawiał, płacąc tenutę dzierżawną obietnicami gruszek na wierzbie lub przyrzeczeniem poparcia w czasie wyborów na sołtysa lub wójta.. Z natury rzeczy wypadało, że przyrzeczeń tych nie myślał dotrzymywać. Ani mu to w głowie nie powstało, była to bowiem sprawa niepodobna do wykonania protegować naraz dwudziestu lub trzydziestu kandydatów na jedną godność wójtowską. W polityce gminnej, jaką pan Grzechotka uprawiał, dopomagała mu z niemniejszą zrećnością czcigodna połowica, pani Albina z Zachwytowiczów, familiantka, osoba bardzo dystygowana. Znalazłszy się "na nizinach społecznych" (tak pani Albina określała pozycję socyalną rneża), nie opuściła rąk, ale z hartem" godnym starożytnej matrony, nie zważając na różne przykrości (w kościele rząd czyni z Bez-

ładowa. z którą żyły w niezgodzie, zasiadała jej nieraz miejsce w uprzywilejowanej ławce), zabiegała na wszystkie strony, aby chwiejące się węgły gniazda Grzechotków podeprzeć. Najochotniej służyła protekcją do męża, miała też wielkie zaufanie wśród piękniejszej połowy ludności gminy Beżładowa. Schodziły się do "pokojów" sekretarzowej chłopki na poradę, z uzaleniem na to lub owo, zawsze znajdując posłuch i poparcie, o ile pani Anzelmowa przekonała się o słuszności sprawy argumentem gegającym, gdaczącym lub półkopkiem jaj, które namiętnie lubiła. Podzielając trudy męża jako dobra żona, nie zapominała jednak o obowiązkach matki. Wychowała trzy żeńskie latorośle starannie, wprowadziła je w świat, bywając po wszystkich "porządniejszych miejscach. " Zaprzyjaźniwszy się z domami ekonomów, żyjących na wyższej stopie, oglądała się pani Albina za stosownemi partyami, spraszając młodych ludzi, wydając baliki, herbatki tańczące, do których sama przygrywała tramblantki na

wypniwowym fortepianie, najdroższej pamiętce z lepszych czasów. Przyjęcia u Grzechotków, choć nader licznie nawiedzane, nie osiągały jednak przewidywanego skutku. Ani panna Eulalia, ani panna Zuzanna, ani najmłodsze dziecko, Pelasia, ulubienica matki, nie trafiły na "swego... " Wyrzucała to nieraz mężowi pani Grzechotkowa, nawet w sposób gwałtowny,

przypisując fałszywej jego taktyce niepowodzenia w poszukiwaniu
upragnionych
zięciów.

— Mają nas ludzie za ostatnich hołyszów. Wyrzekasz ciągle i
wyrzekasz, co
drugie słowo: "bieda!" "bieda!" Do czego to podobne!
Matce wtórowały córki.

— Papa ciągle opowiada, że nic nie ma i wszystkich odstrasza. W
teraźniejszych
czasach i Wenus bez posagu nie poszłaby za mąż — wymawiała ojcu
oczytana
Eulalia.

— Człowiek z "pozycją" nie może się żenić bez pieniędzy —
realistycznie
przedstawiała Zuzanna.

— Niejeden myśli, że nam jeszcze wyprawę trzeba będzie sprawie. A
chwała Bogn,
mamy przecie bardzo ładne srebra — docina-ła "pocziwe dziecko"
Pelasia.

— Ta! ta! ta! — bronił się pan Anzelm. — Może mam wyjść na
rynek i wrzeszczeć
głośno: dam za każdą córką po pięć tysięcy! Nie głupim! Ładniebym
wyszedł...

Okrzyzeliby mię za bogacza... Nie głupim! Wyrzekam, bo mi z tem
dobrze i

koniec! a wam do tego zasię!.. Trafi się porządny człowiek... dam...
jak honor

kocham! dam, ale naprzód obiecywać nie będę. Gotowiby mię z
gminy wysadzić.

Zazdrość ludzka... straszna rzecz! Pomyślą, że mi tu w Beżładowie
złoto kapie. A

wiecie przecie najlepiej, że, żeby nie moja głowa... byłoby... fiut!....

Przy tych słowach dmuchał pan Anzelm w rozpostartą dłoń i, dla
uniknięcia

dyskusyi, wynosił się do kancelaryi. Sceny-podobne powtarzały się dość często.

Były to jedyne chmurki na jasnym firmamencie małżeńskiego pożycia Grzechotków.

Po takim zajściu pani Albina dostawała zwykle migreny, a córki szukały ukojenia

dla zbolątych serc w literaturze.

Bo i o strawie duchowej nie zapomniała troskliwamatka. Swojskich autorów,

zwłaszcza mało romansowych, nie protegowano wprawdzie w domu Grzechotków, ale za

to w bibliotece znajdowało się pełno wzruszających, bardzo ciekawych powieści,

jak: Tajemnice Paryża, Tajemnice dworu madryckiego. Tajemnice Marsylii i t. d.

Ileć uczucia panien Grzechotkówek doznawały zawodu, pocieszały się, czytając

o miłościach powieściowych bohaterów i bohaterek, których również los srogi

prześladował. Prócz tego pani Anzelmowa prenumerowała do spółki z ekonomową z

Plewiej-Wólki Tygodnik mód i powieści.

— Niema tam wprawdzie co czytać, romanse głupie — twierdziła p. Anzelmowa, —

ale zawsze "mody" dla córek potrzebne.

I tak, mimo wyrzekań i biadań pana sekretarza gminy Beżładowa, płynęło życie ro-

dziny Grzechotków znośnie przez lat parę, — płynęłoby zapewne do dziś dnia,

gdyby nie choroba starej Jędraszyny.

Babsko zaniemogło, a że nie miało nikogo, wyprawili je do szpitala na koszt

gminy. Wydobrzała tam starowina, wypisali ją, odesłali do wsi.
Trzeba było
koszta płacić.
Pan Grzechotka zwołał zebranie, zrobił rozkład według zwyczaju z
morgi po
kopiejce. Nie było to wiele, ale ludzie jak ludzie, przy okazji wzięli
babinie
dogryzać, że się cudzym groszem lekowała. Babsko cherne sprzedało
korale, co je
na pochówek trzymała, i dalej do księdza z uzaleniem, że ona chce
koszta gminie
zwrócić, bo jej ludzie lekowanie wymawiają.
I wyszło z babskiej ambicyi głupstwo wielkie, skandal, jak
wyrzekała pani
Albina. Pokazało się, że koszta szpitalne wynosiły pięć rubli z
kopiejkami, a p.
Grzechotka przez swój rozkład ściągnął z gminy, mającej dziesięć
tysięcy morgów,
sto rubli.

Sprawa oparła się o powiat, śledztwo wykryło jeszcze inne rozkłady i
pan
Grzechotka skończył publiczną karierę, dostawszy stante pede
dymisyę.
Dziś mieszka na bruku, po dawnemu wyrzeka na los i zawiść ludzką, i
od czasu do
czasu pisze podania i skargi dawnym znajomym swoim z Bozładowa.
Córki założyły
"magazyn mód" i z pomocą "składkowych wieczorków,"
urządzanych w karnawale,
starają się o mężów. Pani Anzelmowa otwarcie głosi, że mąż dla
"słabości
zdrowia" wziął dymisyę" bo chce na stare lata wypocząć, zresztą,
mając "kapitał,
" nie chce się już z chamami pospolitować. Być może więc, że się
teraz jaki

porządny człowiek trafi...

WÓJT STANISŁAW.

Chłop w każdym calu, wójt Stanisław (nazwisko rodowe pomijam, gdyż pod tem mianem znano go nie tylko w gminie i powiecie, ale nawet w gubernii), sprawował swój urząd w gminie Kowali od lat trzydziestu kilku. Gadativus, zawsze pogodnie uśmiechnięty, lubił wójt Stanisław przy zdarzonej sposobności opowiadać o swych wójtowskich sprawach, a wyrażał się czysto, jędrnie, nierzadko z dosadnym dowcipem i wyborną oceną poruszanego przedmiotu. Zwłaszcza o początkach swego wójtostwa wspominał chętnie. — Kiedy po śmierci rodzica objąłem gospodarkę, zaraz mię wójtem obrali — opowiada!. —

Strasznie był człek wtedy głupi! aż mi teraz dziwno, że gmina kogo innego nie wybrała. Na "książce" ledwo ledwo umiałem się pomodlić, a i to z jednego tylko "Złotego Ołtarzyka, " bo z innej ani rusz! a co opisaniu, to lepiej nie wspominać! Tyle się człek pociesza, że inni byli chyba jeszcze głupszi, bo człowiekprzynajmniej wiedział, że jest głupi — mówił z filuterną miną — i nie miał się za mądrego... — Jakeście sobie, wójcie, radę dawali? — pytano. — Jakoś pomaluśku człek przejrzał. Był u nas wtedy organistą w Kowali Balcar,

niezła dusza. Zachodziłem do niego wieczorami i dalej a b c na nowo,
choć mi się
już wasy dobrze sypały. W pół roku poduczyłem się niezgorzej, a i z
pismem
dawałem sobie radę. Bo najgorzej dla wójta, kiedy się na pisarskie
oczy
spuszcza... Na to ma kowal obcęgi, żeby się nie parzył, a wójt pisarza,
żeby
pisał, ale czytanie i podpis a pieczęć, to już wójtowska rzecz... Pisarz z
razu
poszedł ze mną na

udry, ale jak zwąchał pismo nosem, przycichł i byliśmy z sobą w
dobrej zgodzie
przez lat kilka. Swarzył się jeno ze mną, że po gminie piechotą
chodzę, jakby
podwód nie było...

I rzeczywiście wójt Stanisław rzadko kiedy jeździł po gminie, chyba
do

odleglejszych wiosek, zawsze prawie, nawet w urzędowej sprawie,
chodząc
piechotą.

— Kiepski to ekonom, co ze szkapy nie złazi, a gospodarstwa z konia
dogląda:

zawsze coś prześlepi. A zresztą pańska rzecz jeździć, a chłopska
chodzić...

W białej sukmanie, w granatowym Spencerze, w magierce lub
słomkowym o dużym

rondzie kapeluszu, obchodził wójt Stanisław gminę, wstępując tam,
gdzie mu

potrzeba nakazywała.

Znał swoich współbraci na wylot, umiał do nich przemawiać, — to też
wszelkie

uchwały gromadzkie zapadały według jego życzenia i myśli.

A trzeba przyznać, że wpływu swego używał wszędzie i zawsze w
dobrym celu.

Wrazić, gdy który "mędrek" chciał mu bróździć, zapalał się wójt kowalski i wtedy nie przebierał w słowach.

— Kiedyś głupi, to stul gębę! — karciał oponenta. — Jeszcześ koszulę w zębach

nosił, jak ja już wójtem byłem i nie takich mądrali widziałem. Czego! nie

będziesz płacił! to cię, bratku, sfantują i będzie wstyd. Jak wójt a gromada

chce czego, to słuchać a gębę stulić! Rozumiesz!

— Kiedy to, panie wójcie... — chciał się tłumaczyć niefortunny przeciwnik.

— Ty mi nie panuj! tylko słuchaj! Taki ja pan, jak j ty. Z twoim ojcem gęsi

pasalem i za łby wodziliśmy się chłopakami. "Panie wójcie!" gadaj, człęcze:

"wójcie, " a pyska nie rozpuszczaj, to będzie lepiej!

Po takim dictum milkła zwykle strona przeciwna, a wójt Stanisław, po

zapadnięciu uchwały, wyszukiwał skonfudowanego oponenta, brał go za rękę i,

łagodząc zbyt ostre wystąpienie, mówił:

— No! nie gniewaj się, Maciek! Widzisz, człek tyle lat siedzi na wójtostwie,

krzywdy ludzkiej na sobie nie ma, to mu i przykro przekomarzać się z takim

pędrakiem!...

— E! tak się człowiekowi wyrwało, a pan wójt zaraz...

— Jużci mówiłem, że ja nie pan, a poprostu wójt!...

— Widzicie, wójcie. Ja to ze swej głowy nie mówiłem... ludzie przenamówili, a

wyście zara po mnie pojechali — tłumaczył się Maciek.

— Nie słuchaj drugich, jeno swego rozumu, a będziesz zawsze w zgodzie. Bo z ciebie niegłupi chłop, tylko Sparty — przedstawiał wójt Stanisław i tak najzupełniej przekonanego Macieja. Postępowaniem takim zapobiegał robieniu sobie nieprzyjaciół w gminie, ogólny też głos gromady twierdził: "takiego wójta, jak nasz, poszukać!" Będzie temu lat kilka, kiedy raz pierwszy poznałem wójta Stanisława.

Wiosna była, ta nasza kochana, strojąca się w zieleń, słoneczna wiosna. Żyzna proszowska ziemia zaczynała rodzić. Wystrzelały z pod ziemi łopiany, żółciły się ostromlecze, spinał się rozchodnik po zrębach wąwozów, kępki macierzanki grzały się w jasnych promieniach, szmaragdowa darń zaścielała grzędy i miedze. Z pól dolatywało wesołe: "oj, dana! dana!" oraczy, cichy szum rozpekającej wierzbiny, szelest ożywionej ciepłem zbożowej runi, śpiew ptasząt, przysiadłych w gałązkach rozkwitłej tarniny. Bawiłem wówczas w jednej z wiosek, przynależnych do gminy Kowala. Znałem już wójta Stanisława z opowieści, zapragnąłem go poznać osobiście i wybrałem się spacerkiem do kancelaryi gminnej. objaśniono mi, że wójta niema. — Pewnikiem w polu... orzą — pouczał stójka. Wywiedziawszy się, gdzie leży wójtowski polanek, poszedłem.

Za pługiem, ciągnionym w parę doskonałych mierzynów, szedł boso, w rozpiętej

koszuli, posiwiały włościanin. Uderzył mnie na pierwszy rzut oka łańcuch na jego

szyi. Domyśliłem się, że to wójt Stanisław.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! — odpowiedział.

— A cóż to, wójcie, tak trudzicie się sami? — spytałem.

— Czy to orka przeszkadza wójtostwu, wielmożny panie? — odpowiedział.

— Zapewne, że nie — wtrąciłem. — Tyłku dziwi mnie, żeście się przestroili do

pługu w łańcuch...

— Jeśli wielmożny pan co o mnie słyszał — odrzekł z dumą, — toż mu chyba

świadomo, że tego z nijakiej ambicyi nie zrobiłem. I tak ludzie wiedzą, że

wójtem jestem jaż siła lat i, chwała Bogu, nie narzekają. Z umysłu kładę łańcuch

na siebie, kiedy w polu wypadnie robota. Wójt, nie ubliżając panom dziedzicom i

księdzu plebanowi, między chłopstwem pierwsza osoba. Niechże na-

ród wio, że wójt, czy nie wójt, powinien oddać świętej ziemi to, co jej winien.

Chłopem się urodziłem, chłopem mi umrzeć, a że tak wypadło, iż mię głową gromady

zrobili, to dla honoru swego się nie wyrzeknę. Do czego Pan Bóg człeka stworzył,

z tego według sumienia rachunek zdać winien.

Słynne też były odezwania się wójta Stanisława w różnych okolicznościach.

Nacechowane pewnością sądu i trafnością spostrzeżeń, krążyły wójtowskie aforyzmy

z ust do ust.

Zapraszany przez obywateli, bywał wójt Stanisław we dworach częstym gościem i

rad bardzo w kółku ziemiańskim gawędził.

Chciano go nieraz przy obiedzie na honorowym miejscu sadowić, ale wymawiał się zawsze.

— I tak panowie dość starego wenerujecie, a i śleź przesolony zbrzydnie —
tłómaczył, siadając, mimo oporu gospodarza, na szarym końcu. —
Nibyśwa to
wszyscy równi, ale mnie się widzi, że tak niejest... Szczupak
szczupakiem, a
płatka płatką. Zresztą jadło, czy tu, czy tam, jednakowe, a fornalskiej
szka-

pie najwygodniej w cugowej stajni w ostatniej przegrodzie...
Było w tem określeniu może i frantostwa trochę, ale była i ta zdrowa
duma
prostaczego rozsądku, umiejąca poprzestać na swoim.
Podczas wizytacyi biskupiej duchowieństwo parafialne i obywatele
ziemscy
podejmowali Pasterza dyecezyi składkową ucztą. Do grona
biesiadników zaproszono
wójta Stanisława. wystroił się stary odświętnie w sukmanę z suką, w
szeroki pas
skórzany, nabijany mosiężnymi gwoździkami, w insignia wójtowskie.
Podczas
biesiady wzniesiono między innemi zdrowie wójta Stanisława.
Podniósł się stary z kieliszkiem. "węgierskiego" w rękę i na
podziękowanie
przemówił:
— Nie stać mię na ładne słowa. Poprostu więc dziękuję
wielmożnemu zebraniu. Bóg
zapłać! za siebie i za gromadę, której jestem wójtem. Bóg zapłać!
Niechże nam
wszystkim to wino, które ja, chłop, rzadko pijam. przy łasce Boskiej
na dobre
wyjdzie. Za zdrowie całej prześwietnej kompanii!

Wychylił duszkiem i, stawiając próżny kieliszek, dodał półgłosem:

— Dawno mi tak żaden trunek nie smakował!

Po skończonem przyjęciu podszedł wójt Stanisław do jednego z ziemian,

odbierającego składki, pytając:

— A siła to tam będzie się należało ?

— Od wójta nic. Zaprosiliśmy was jako

— O! co to, tonie! Dopuszciliście mnie do równości w jednym, dopuście w drugim. Nie róbcież panowie despektu mej krwawicy, bobym się gniewał. Jak się chłopski grosz z szlacheckim zmiesza, nie pozna:

który czyj ! I, mimo nalegań, wyjął z sakiewki pięć rubli (bo tyle składka

wynosila) i doręczył je, podżartowując:

— Wcale niedrogo. Niejeden przy okazji w karczmie więcej straci, a tego honoru przecie nie ma!

Wy ciągnano też czasami umyślnie starego na słowo, wiedząc, że się z nienacka zagadnąć

nie da i na każde pytanie trafną znajdzie odpowiedź. Pytano raz wójta Stanisława

(rozumie się żartem), dlaczego się me przebierze ? — Żartujcie zdrowi! —

odpowiedział. — Człek chodziłby w palitocie jak odparzony koń w chomoncie. Także mi wygodna!... albo ja głupi robić z siebie gawrona na pośmiewisko ludzkie.

Wyglądałoby się niczem czaruj owca między białemi. Żartujcie zdrowi! A, na ten

przykład, po śmierci błąkałby się człowiek na sądzie ostatecznym od gromady do

gromady i swoiby go może nie poznali... "Własny nieboszczyk rodzic
gotówby pasem
przecięgnąć po plecach i spytać: Stachu! coś ty z siebie za cudaka
wystroił? a
nie zostawiłem ci to sukmany jak się patrzy, żebyś po ojcach
dodzierał, żeś się
w czarne łachy przyodział?! Żartujcie zdrowi! Są głupie narody, co
im nowość
pachnie i rozumieją, że dość magierkę w kąć cisnąć, a kaszkiet
przywdziać, to
się i w głowie przeinaczy... A jakby człeka z wójtostwa złożyli, byłby,
na ten
przykład, jak lokaj dworski, co służbę stracił, jeno libe-

rya została! Jużto ja się pocziwej sukmany nie wyrzeknę; tak się
ojcowie
nosili, w takim przyodzianiu przed Panem Bogiem stawali i ja stanę.
A niechby
się które dziecko ważyło, póki na oczy patrzę, przeciaraszyć...
Sprawiłbym mu
takie pranie, żeby syberyna popekała!
I rzeczywiście, stosownie do głoszonych zasad postępowałem.
Wójtowskie dzieci
odziane były po włościański!, a nawet synowie po ukończeniu
czterech klas
gimnazjalnych z szkolnych mundurków wrócili do sukmany. Jednego
z synów osadził
wójt Stanisław na roli, drugiemu sklepik założył, a trzeci, najmłodszy,
został
organistą.
Pierwszy to raz w życiu widziałem organistę w sukmanie!
Natrącano wójtowi, żeby synów wyżej kształcił, mówiąc, że szkoda
chłopców po
skończeniu czterech klas zagrzebywał na wsi.
— Szkoda albo nie szkoda — odparł. — Juści lepiejby było, żeby
całe szkoły

przeszli, ale jakby który przemądrzał, toby mu się później w
ojcowskiej chałupie
cniło...

— Mógłby sobie poszukać innego kawałka chleba w świecie...
— A poco ma szukać! Choćby nawet znalazł, to i tak niedobrze. W
mojej głowie
wieś, nie przymierzając, jest jak obora: jak się kto z obory najlepszych
cieląt
wyzbywa dlatego, że je łatwiej między ludzi puścić, a najgorsze na
chów ostawia,
to w końcu i obora spaskudnieje. Tak i we wsi... Jak co mędrszy
pójdzie w świat,
to sami głupi ostaną... A dobrze będzie wtedy, he?
Podczas wybuchnięcia epidemii, z polecenia wyższej władzy
nakazano, jak zwykle,
grzebać zmarłych na cholere na oddzielnych cmentarzach. W każdej
wiosce wybrano
na ten cel odpowiedni plac na ustroniu. Wójt Stanisław znalazł się w
kłopotcie. W
gminie zamieszkiwało kilku żydów, dla których, rzecz prosta, trzeba
było również
osobny kirkut wyznaczyć. Zaproponował Izraelitom, aby nabyli gdzie
parę prętów
gruntu za własne fundusze. Żydzi odmówili, utrzymując, że gmina ze
swoich
środków powinna pokryć ten

wydatek, a gromady nie chciały na ten cel uchwalić ani grosza. Ani
tak, ani
owak!

"Wzywa tedy wójt Stanisław żydów do kancelaryi gminnej i powiada:
— Niechże kupcy za swoje kirkut kupią, bo gmina pieniędzy nie ma,
a grunt

drogi. Juści, jak wy nie kupita, to, radzi nieradzi, będziemy wam musieli poleżysko sprawić. Jest was wszystkich pięciu, a z żonami i dziećmi głów dwadzieścia, to żeby świętej ziemi na darmosa nie psuć, a grosza nie wyrzucać po próznicy, weźmiemy wprzód z każdego miarę, żeby wiedzieć dokumentnie, jaki szczątek ziemi potrzebny. Po tej przemowie żydzi, w obawie miary, drugiego dnia zaraz nabyli odległą "pustkę" pod kirkut i fortel się udał. Takim był i jest (bo żyje i urzęduje dotąd) wójt Stanisław. Piękna to i godna szacunku postać. Szczery, rozsądny, do ziemi przywiązany, chłop w każdym calu, ma wójt Stanisław coś z piastowskiego kmiecia w sobie.

WALENTY KARPIEL, WÓJT, I WÓJCINA MAGDA.

Żeby nie ja a nei wieprzak prędzejbyś swoją ucho zobaczył, niż wójtemostał, pijaku! — wykrzykiwała, grożąc pięścią, Magdalena Karpielowa, ilekroć Karpiel pijany z objazdu po gminie wracał. — Me bluźnij, kobieto!... Taka była wola gromady... Wieprzka nie wymawiaj, bo jak się zgniewam, to ci go z pierwszej pensyje zapłacę i gębę stulisz! — bronił się podcięty. — Zapłacisz? z czego? Z pensyje? Jużeś ją u Herszlika i po karczmach przetopił! — Przetopiłem... to moje! wójtowski grosz, to mi wolno, a tobie zasię hańbić urzędnika... rozumiesz! — stawiał się Walenty.

A, wieprzek twój? co? Nie ja go uchowała, ukarniła ? Me dawali gońce trzydziestu papierków? he? Wszystko poszło! Chciałam z ciebie człowieka zrobić, ale kaj tam! Także wójt urzędnik! ani me, ani he... w karczmie się jeno wyleguje, a w kancelaryje pisarskie rządy... Jak mi jeszcze raz pałkę zalejesz... popamiętasz moje słowo! popamiętasz! — odgrażała się rozgniewana kobieta.

— Zaleję... nie zaleję... Toć przecie wójtem jestem i ludzkiego poczęstunku odrzucać nie mogę. A wieprzka ciągiem nie wytykaj, bo jedno, że zagroda moja, lumer mój, to i wszystko moje, a drugie, przez niego i na ciebie honor zleciał... Wójciną jesteś jak się patrzy i nikt ci powagi i atencyi nie odmawia...

Tego rodzaju dyalogi małżeńskie Karpielów, w których wieprzek odgrywał dominującą rolę, trafiały się dość często, n nierzadko Walenty Karpiel, poturbowany przez krewką połowicę, za nazbyt wesóły objazd i wspo-

mnienie dopasionego półswinka pokutował zamknięty w komorze. Każde stanowisko ma swoje ciernie i głogi.

W wymówkach, jakie Magdalena Karpielowa czyniła mężowi, było wiele słuszości.

Przedewszystkiem w jej to głowie zrodziła się myśl osadzenia go na urzędzie. Sam

Karpiel, chłopisko potulne, nigdyby o tem nie zamarzył. Ale babina hambitna, jak

mu zaczęła dojeżdżać, że we wsi nic nie znaczy, że, choć gospodarzem jest

osiadłym z dziada pradziada, to byle przybysz czy w gminie na
zebraniu, czy, na
ten przykład, w karczmie na zabawie, przed nim rej wodzi, — wziął
Walenty na
hambit i dalej kręcić się między ludźmi, żeby go wójtem obrali.
Spraszał somsiadów, podejmował, często gęsto z butelki raczył,
skarbiąc sobie
przychylność gromadzką.
Jedni z miejsca przyrzekali "głosy, " inni odradzali, przedstawiając:
— Bez waszej urazy, Walanty! ale nam się widzi, co nie wasza głowa
na wójta.
Zawdyto

potrzeza łepetyną niezgorzej kręcić, a i pismo potrzebne...
— O, nie święci garnki lepią! mój się ta przeciwczy — upewniała
Karpielewa.
— Pewnikiem! postaram się, a zresztą od czegoż pisorz —
dopowiadał sam Karpiel.
— My też naprzeciw was niczegoj nie mówiewa... Gospodarz
jesteście... figura
jak się patrzy... byleście sobie jeno radę dali, toby wam wójtem
pasowało —
potakiwali nieco przekonani słuchacze.
Lecz, pomimo namów i traktamentu kto wie, czy plebiscyt wypadłby
dla Karpiela
pomyślnie, zwłaszcza że przed wyborami zjawiło się kilku groźnych
kandydatów,
gdyby nie prawdziwe poświęcenie Karpielewej, której się gwałtem
zachciało
postawić na swoim. Ów wieprzek, stanowiący główną "tezę"
późniejszych wyrzekań
wójciny, przechylił ostatecznie szalę zwycięstwa na stronę Walentego.
Plewniak był setny, na osypce i kartoflach wypasiony. Obiecywała
sobie
Karpielewa.

wziąć za niego sporo grosza, bo właśnie na świnie lepszy czas nastał i "gońce" kręcili się po wsiach. Rachowała, że siebie i dzieci ogarnie, a i Walentemu kryty kozuch sprawi. Ale czegoż to kochająca żona dla mężowskiego dobra nie zrobi! Jak przewąchała Magda pismo nosem, że mąż może się przy wyborach upsnąć, a kto inny wziąć górę, bo nawet głośno o Filipie Pęczaku mówili, że na wójta kroi, a partyę sobie zbiera — dalej po rozum do głowy! — Co dać, to dać, a na swoim postawić trza — mówiła jednego dnia do strapionego męża. — Żal, bo żal, jak rodzzonego dziecka, ale dla ciebie, Waluś! dla twego honoru... i na to jestem gotowa... Zabijewa wieprzka, trza sprosić co godniejszych gospodarzy i pana pisarza... a jakże! bo to głowa... i dokumentnie uradzić, jak sobie poczynać, boby cię w kaszy zjedli, Waluś! A Swiadomo: kto smaruje, ten jedzie... Walentemu podwójnie przypadł do gustu projekt żony. Raz, że przedwstępne głosowa-

nie przy misce wieprzowiny nie mogło nie wydać dobrych rezultatów, a powtóre, że, bez względu na wynik przyszłych wyborów, już na samą myśl sperki, podgartllanycli kiszek i barszczu na dudach łykał zawczasu ślinkę. Za całą przeto odpowiedź rzucił się żonie na szyję, wołając: — Magda! u ciebie lepszy rozum, niż u niejednego chłopa!

— A widzisz! teraz Pęczak, żeby na czworakach chodził, nie poradzi...
Losy wieprzka, przeznaczonego na argument wyborczy, zostały rozstrzygnięte.
Na drugi dzień we świtanie przeraźliwy kwik, dochodzący z chałupy Karpielów,
zwiastował wszem wobec i każdemu z osobna o po-Swieceniu Magdy.
Z chaty do chaty biegła budząca wysokie zainteresowanie wieść: "u Karpielów wieprzka zabili!"
— To nie bez kozery — mówili jedni.
— Karpielowa "swego" na wójta widać szykuje — domyślali się drudzy.

— Pewnikiem gromadę sproszą, a poczęstunek wyprawia...
Domysł sprawdził się najzupełniej. W parę dni potem, prawie przed samymi
wyborami na wójta, "żeby za świeża w pamięci ostało" — wyprawili Karpielowie
suty traktamentu dla wpływowszych wyborców z całej gminy. Pisarza zwiózł Walenty
własną furmanką.
Najedli, napili, niejeden wziął jeszcze "na wypłat" do domu skrawek mięsa lub
funcik słoniny, pan sekretarz przyniósł się o "południcę... " Nie żalowali tego
Karpielowie, bo wszystko po ich myśli wypadło.
Walenty Karpiel wrócił z wyborów z łańcuchem i powitał żonę:
— Dajże teraz gęby, wójcino! Pierwsze chwile urzędowania przeszły jako tako. Ludzie garnęli się do nowego wójta, a pisarz objaśniał, gdzie i jak
pieczęć wójtowską przyłożyć, co Karpiel własnoręcznie z namaszczeniem wykonywał.
Chwalił się nawet z tego powodu przed żoną:

— Widzisz, Magda! już z grubsza przepatrzyłem wójtowskie obroty.
Bez mej
pieczętki a podpisu żaden papier z gminy nie wyjdzie...

— A kiej pisać nie umiesz?!

— No, niby nie umiem, ale krzyże to rychtownie stawiam.
Karpielowa rosła w dumę, załygała się czasem nawet do kancelaryi,
bo zawsze
człękowi wedle serca przyjemnie, gdy mu czapkują a "wójcino"
mówią. Aż jej się
oczy śmiały, kiedy — bywało — w niedzielę do kościoła zajdzie, w
ławce
zasiądzie, a między narodem przelatuje: "wójcina przyszła! patrzcie,
jaka
alagantka, kieby szlachcianka!"

W samej rzeczy Karpielowa ze zmianą położenia zadbała o
zewnątrzny wygląd
zarówno swój, jak męża.

Jak cię widzą, tak. cię piszą. Pojechali oboje na jarmark. Dobrała
Walentemu

czarny surdut i spodnie sukienne, żeby się wobec gromady
ochędoźniej pokazał, a
wytartem sukmaniskieni nie świecił: sobie sprawiła kaf-

tan na wacie z guzikami na dwa rzędy i chustkę bajową... Poszła na to
wszystko
dwuletnia jałówka, co się już poganiała, ale trudno. Nie zawsze można
być na
grosz ściśliwym...

— Ja cito, Magduś! wszystko z precen tem zwrócę, jeno pensyj?
odbiorę! —
obiecował Walenty.

Jakoś mu się jednak z tem nie Spieszyło. Nie nalegała i wójcina z
razu, bo

rozumiała, że na początek będą różne wydatki, z nowem stanowiskiem związane.

— Wójt, nie byle kto! każdy mu na ręce patrzy. Ludzie od czasu do czasu-

poczęstują, toć trzeba komu niekomu od siebie postawić, a przy okazji głowa się

zaprószy — rozmyślała, gdy Karpiel trochę cięty do domu wracał. —

Ale niech się

tylko włoży, niech się da poznać, to jaż ja go ustatkuję - —

obiecowała sobie.

Wkładał się Karpiel, wkładał, a coraz bardziej nacinał. Świtkiem już wymykał się

do kancelaryi, nierzadko na obiad do chałupy nie zajrzał.

a bywało, że nieraz późno w noc z objazdu wróci i jeszcze brewerye stroi.

Zmiarkowała Magda, że tak niedobrze, bo Karpiel o gospodarce ani zbylił, ale

wzięła jeszcze na cierpliwość. Przyjęła parobka, żeby mieć w chłopskim obrządku

wyrękę, i czekała.

Dopiero, jak raz konie same przyszły do domu, a schlanego wójta "na siłę"

przyprowadził stójka, z oberwanym u surduta kołnierzem, bo się w karczmie

przemówił, jak ludzie wzięli na języki, a zaczęli podśmiewywać i wykpiwać,

rozlała się żółć w Karpielowej i wybuchnęło babsko, wymyślając od pijaków,

włóczęgów, zawalidrogów...

Odżyło w piersiach rozżalanej kobiety wspomnienie zarżniętego wieprzka...

przejrzała...

Daremnie łagodził złe wrażenie wytrzeźwiony Karpiel — brała się już Magda, nie

zważając na świadków, do melaka, na szczęście jednak umknął
Walenty w porę do
stodoły i zawarł się na kołek.

Po tem pierwszym starciu nie było dnia prawie bez kłótni i klątwy.
Stawiał się Walenty, odgrażała Magda. i tylko w jedną niedzielę, gdy
obydwoje
w półkoszku jechali do kościoła, a gromada ustępowała im z drogi,
witając "pana
wójta, " zapominała o przebytych dolegliwościach dzieląc honory
męża Karpielowa
i czasem nawet za " własny " grosz brała z karczmy do domu butelkę
"słodkiej. "
Poniedziałkowy objazd psuł jednak na nowo harmonię małżeńską.
A i na tych "objazdach, " na które wójta pisarz dla asysty wyciągał,
wielkiego
smaku nie było.
Wiadomo, że czasem z urzędu trzeba się było ludziom naprzykrzać, a
na to nikt
wyrozumiałości nie ma, że prawo prawem, a podatków i koniem nie
objedzie, jeno,
jak przyjdzie pora, zapłacić należy.
Bywało, ludzie nie płacą, z kancelaryi wysyłają raz, drugi.. "karnego"
stójkę...
na nic!.. Jedzie sam pisarz z wójtem. Tłómaczy się

naród: a to wtedy, a to w owody oddawa... " Pisarz, jak pisarz:
zasłania się
wójtowską osobą, mówiąc, że nic nie znaczy, a Walenty, choć radby
niejednemu
wygodzie, nie wie. jak ma sobie poczynać, bo mu pisarz już w
kancelaryi
przykazał, żeby się nie ważył nikomu prolongować...

I krzywdowali sobie ludzie na takie rządy, niesłusznie winując
Karpiela, że o
gromadzkie dobro nie dba, że shardział i teraz przewodzi.
— Zapomniał wół, jak cielęciem był! — mawiali, odgrazając się, że
go jeszcze
przed terminem złożą.
Trzeba było pomstowanie łagodzić. Więc wstępował Karpiel do
karczmy, stawiał od
siebie blachę, poił, a przedstawiał, że na to rady niema. Towarzyszący
mu
pisarz, chód w oczy gadał co innego, za oczy niejednemu szepnął:
— " Z Karpiela chłop głupi i miętki, wszystko na mej głowie. Ja
własnych pleców
za was nadstawiam, a z niego nie mam za-

dnej wyreki, bo przytem sparły jest i naciąć lubi...
Najgorszy jednak kłopot sprawiała Karpielowi "kasa pożyczkowa"
gminna. Rachować
wprawdzie Walenty umiał, ale, jak przyszło procenta obliczać —
zdechł pies! bez
pisarza ani rusz!
A w dodatku ludzie cisnęli się o pożyczki, żadnego uwzględnienia nie
mając.
Każdy chciał brać. Walenty obiecował, a jak przyszło do rzeczy,
skutku nijakiego
nie było, bo pisarz przeczył, a różne formy wynajdywał.
Zmiarkowali ludzie, że się bez Karpiela obejda, i później wprost do
pisarza z
interesem chodzili. Nie gniewałby się może o to Walenty, choć to
przeciwnie jego
honorowi było, gdyby nie obawa, że pisarz może co skreścić, a potem
na niego
odpowiedzialność spadnie.
Nieraz też skarżył się przed żoną na pisarskie rządy.
— Wtyka nos wszędy, a mnie do niczego nie dopuszcza...

— Boś do niczegoj! Byłoś brzuch napasł, tu ci jedność. Pamiętaj! pamiętaj!

pieczęci z garści nie popuszczaj, a słuchaj uważnie, co czyta, zanim podznaczysz... ja ci to mówię, twoja żona! bo wpadniesz w biedę!

— O! o! znów nie przewiduj! Mądry on, ale i ja nie głupi! —
uspokajał.

Próbował nawet Karpiel raz postawić się sekretarzowi. Pisarz położył pióro,

wyjął kluczyki od szafy i także na stół położył, a nie odrzekłszy ani słowa,

wyszedł z kancelaryi do swego mieszkania. Strach zdjął Karpieli — dalej za nim i

w prośby!

— Jak sobie beze ranie radę dacie, wójcie. to i owszem. Wyście głowa! ja tylko

pisarz, wasz podwładny, co każecie napisać... Właśnie przyszły papiery z

powiatu, to mi podyktujecie odpowiedź... — przekomarzał się pewny swego

sekretarz.

Przerażony Walenty nuże prosić, molestować. Pogodzili się i wszystko wróciło do

dawnego stanu rzeczy. Ale raz nauczony wójt już od tej chwili nie zabierał się

ni-

gdy do pisarza, "żeby jakiej obstrukcji nie było!"

Upłynęły dwa lata. Gospodarka upadała, Karpiel coraz częściej nacinał, wójtując.

Karciła go żona, ale nie pomagało. Chłop zwłókł się i na babskie gadanie nie

zważał. Pisarz harował nim, posyłając po gminie, gdzie najgorzej.

Gromada

zaczęła sarkać.

Zdarzyło się, że podchmielony Karpieł zgubił raz "kwaterunkowe, " zebrane od ludzi. Nie było rady, przed żoną nie rzekł ani słowa, tylko ze swego założył.

Ale nie koniec na tem.

Pojechał Karpieł z pisarzem do powiatu, do kasy. Spotkał się z wesołą kompanią i

gdzieś pięćdziesiąt papierków i kwity zagubił.

Pieniądze, jak pieniądze... byłby je jeszcze skąd wytrzasnął, ale z kwitami było

gorzej. Ludzie zaraz obnieśli... dowiedziała się cała prawda

Karpiełowa...

Aż wrzało w chałupie!! Wspomnienie nieboszczyka wieprzka znalazło praktyczne

zastosowanie, po którym Walenty nie pokazywał się na świat przez dni parę, póki się plejzery nie zagoiły.

— Drugiego upasę, ludziom postawię. Niech cię tylko obala niedługo! opoju! —

głosiła rozsznoga Magda. — Chciałam z ciebie człowieka zrobić, ale po próżnicy!

Kół zawsze kołem ostanie!

Na następne trzechlecie wybrała gromada wójtem Filipa Pęczaka.

Karpiełowi zostało z wójtostwa nacinanie i trochę długów przyrosło.

Mimo to

jednak, krytykując czasami postępowanie nowego wybrańca gminy, mawiał:

— Za mego wójtostwa tego nie bywało...

— A ino! — docinała ex-wójcina — nie bywało! Głupiś był i głupim ostałeś...

Zresztą, co z woza spadło, to przepadło... Jeno mi wieprzaka żal...

Byłoby zań

ze trzydzieści papierków... albo i więcej!..

KONIEC

